



# RZECZPOSPOLITA

## 500 czy 501? 30-5-82

FELIETON

W czasach, gdy rząd ledwie zipie, nauczyciele toczą bój ostatni, a sondaże opinii publicznej ujawniają załamanie wiary w gospodarczy cud, w redakcji sportowego pisma — przy słownych paluszkach — zebrał się kwiat polskiego dziennikarstwa piłkarskiego plus szefostwo PZPN. Mężowie ci skrzyknęci zostali przez historyków naszego futbolu, aby rozważyć propozycję oficjalnego rejestru meczów narodowej drużyny, poczynając od 1921 roku. Władze związku nigdy nie zajmowały się tą kwestią. Nie weryfikowały też list — bo kursowało ich kilka — z kryteriami FIFA, obowiązującymi dokumentalistów i statystyków w szerokim świecie. Skoro jednak (podobno) do niego zmierzamy, to wypadaloby porządkować wszystko po kolei, zagrode po zagrodzie.

Wbrew pozorom, kłopotów tu bez liku. Reguły, wydawałoby się proste i jasne, sypią się w zetknięciu z rzeczywistością. Ustalić dziś, niekiedy po wielu latach, które mecze były oficjalne, miały certyfikat FIFA, które zaś „nieoficjalne” — trudność nie lada. Zresztą nie dotyczy to tylko naszego pięknego kraju. Rejestry innych związków też bywają w niezgodzie z listami światowej federacji. Dlaczego? A dlatego, że w przypadkach wątpliwych wszyscy wpisują do annałów tylko mecze... wygrane. Nie do wiary, ale proceder poprawiania statystyk sportowych jest wszędzie uprawiany. Nawet poważne kraje się w to bawią. Gdyby chcieć stosować rygorystyczne zasady, to by się okazało, że ani Pele nie strzelił tylu bramek dla Brazylii, ile mu się przypisuje, ani inni nie mieliby tak imponujących serii zwycięstw. Nie miałby też setki meczów w drużynie narodowej nasz Deyna.

No dobrze, ale jak odbierać komuś „osiągnięcia”, o których trąbiono przez całe lata? Dlaczego akurat dziś zmieniać historię, skoro ona sobie żyła wraz ze swymi błędami? I dlaczego nagle Polacy mają występować do FIFA z propozycją uporządkowania tej stajni Augiasza? A może lepiej, zanim się wyjdzie do Europy, zadowolić się ładem we własnym domu? Bo dlaczego niby my właśnie mamy ustalać wzorce uczciwości, skoro inni do

tego nieskorzy?

W każdym razie, co się liczy, plonem kilkugodzinnej debaty był czyn, co się w Polsce rzadko zdarza. Postanowiono bowiem powołać przy PZPN komisję (społeczną), która zaproponuje ostateczną listę meczów reprezentacji — ok. 500 pojedynków. Przy czym stwierdzono, że bliska doskonałości jest ta, którą zaprezentował znany encyklopedysta piłkarski Andrzej Gowarzewski. Nie mówmy hop!, ale coś tam załatwiono.

Kiedy jednak przystłuchiwałem się rokowaniom, nie opuszczało mnie poczucie lekkiej nierzeczywistości. Wszystko się jakby naokoło wali, nastroje są dość paskudne, a tu kilka osób skakało sobie do oczu, roztrzaskając nie najważniejsze w końcu społecznie kwestie. Próbowało na własną rękę odfalszować to, co z premedytacją (także polityczną!) lub bez, jednak przez lata fałszowano. I nagle zdałem sobie sprawę, że jest to impreza krzepiąca. Świadcząca o normalności życia. Oto grono pozytywnych maniaków zajmowało się tym, co ich emocjonuje, boli, dręczy. Jak pisał zapomniany prozaik Roman Jaworski w swej „Historii maniaków”: „O każdym szczególnie każdy mógł mieć najwyżej myśl własną i miał ją”.

Może to kogoś zaskoczy, ale dodam mimochodem, że dzięki podobnym pasjonatom życie w PRL bywało chwilami całkiem znośne. Tułali się gdzieś po marginesach życia, istnieli w jakichś enklawach, nie zawsze wychodząc na światło dzienne. Uprawiali — dla własnej higieny psychicznej, ale także i dla higieny społecznej — własne ogródki. W chałupniczym mozole dokopywali się do pewnych prawd, które przeczyły oficjalnym wersjom, dekretowanym w Białym Domu (bo np. z dokumentacji futbolowych wykreślano nazwisko najlepszego piłkarza przedwojennego Ernesta Wilimowskiego). I to Peerel pozostawił nam w spadku tych osobników, którzy próbują dziś tworzyć koalicje. A po co? Bo wreszcie widzą szansę przepchnięcia swoich prawd i możliwość wyprostowania niektórych ścieżek. Zanim się zacznie naprawiać główne trakty.

Krzysztof Mętrak